

Etchemendy Nancy
Umowa żeglarza

(The Sailor's Bargain)

Z "NF" 6/91

Znowu jęczę przez sen. Poprzez otchłań dzielącą łóżka
słyszę jak moja przyjaciółka Mary Fairfax woła mnie.

- Elektro. Elektro! Zbudź się.

Ale nie mogę oddzielić jej głosu od pajęczej tkaniny mego
snu. Tak jak nie mogę oddzielić huku wiatru i własnej krwi.

- Zbudź się.

We śnie klęczę na zmytym deszczem pokładzie drewnianego
statku, statku o wielu żaglach, wielkiego i ciemnego. Fale
łamią się ponad dziobem, a maszty trzeszczą jakby się miały
rozpaść na kawałki. Wiatr szarpie mną. Śmieje się i mówi:
Umowa jest umową, to najważniejsze.

Wtedy widzę, że dziób statku jest w rzeczywistości
kaplicą sierocińca w San Francisco, gdzie się wychowałam.
Biorę udział w jakiejś dziwnej mszy. Śpiewane odpowiedzi
płyną z moich ust. Nie należą do żadnej znanej mi modlitwy.
Czas leci jak tkackie czółenka i przemija bez nadziei.
Wspomnij, że dni me jak powiew. W jednej chwili chaos snu
pierzcha i siedzę patrząc w twarz Fairfax. Nikłe światło
ulicznych lamp sączy się przez okno. Widzę w nim niby
aureolę jej rozwichrzone włosy i zmarszczkę odcisniętą w
poprzek policzka przez poduszkę. Sierociniec, kaplica i
statek zniknęły. To samo zdarza się prawie co noc od dwóch
miesiący.

- Cholera - mówi Fairfax.- Nie zniosę tego więcej.

Albo ktoś ci pomoże, albo się wyprowadzam.

Przyciskam prześcieradło do czoła, żeby zetrzeć pot.
Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że tym, co widzę nie
są ceglane ściany sypialni w przytułku pod wezwaniem Naszej
Pani, Patronki Portu. Już prawie dwa lata minęło, od kiedy
wyprowadziłyśmy się z Fairfax z tego katolickiego
sierocińca. Teraz mieszkamy na terenie kampusu
uniwersyteckiego w Las Piedras, w "pomieszczeniu
tymczasowym" - po prostu w przyczepie podzielonej na kilka
miejsc do spania i dużą łazienkę.

Słyszę, jak nocny wiatr wieje od lądu w stronę
oceanu, grasując między pilśniowymi płytami i skrobiąc
po tanich framugach okiennych. W porównaniu z sierocińcem
pod wezwaniem Naszej Pani, Patronki Portu, z jego grubymi
ścianami, dębowymi belkami i ciężkimi, nabitymi ćwiekami
drzwiami to małe pudełko daje tyle schronienia co kawałek
papieru.

- Nie chcę żadnej pomocy - mówię. - Postanowiłam, że ten
sen już się nigdy nie powtórzy.

Ale Fairfax zna mnie zbyt dobrze.

Wzdycha i zapala moją wyszczerbioną lampkę nocną. W jej podnoszącym na duchu, złotym blasku pokój jest doskonałą ilustracją różnic między nami. Moja strona zawalona skarbami, które zbieram bez określonego planu buszując po sklepach ze starzyzną i pchlich targach, jej - pusta i czysta jak cela mnicha. Ja kupuję krzywe stoliczki, dziurawe kapelusze, pudełka pełne kryształów i guzików. Fairfax woli nowoczesne europejskie sztychy i małe zegarki bez cyfr na cyferblatach.

- Nikt nie może tak po prostu zdecydować, że nie będzie śnił jakiegoś snu. On wróci, wiesz to tak samo dobrze jak ja. To nie jest normalne, Elektro. Ty i twoje koszmary nocne doprowadzają mnie do obłądu. Wyprowadzam się jeżeli nie porozmawiasz z kimś na ten temat.

Gasi światło. Podciągam kołdrę i gapię się przez okno na kiczowate czubki drzew. Ona po prostu, na swój sposób, stara się by mi pomóc.

Następnego ranka, w czwartek, kiedy wychodzę z pokoju, Fairfax siedzi w szlafroku grając na wiolonczeli. Jak zwykle macham na do widzenia, a ona jak zwykle kiwa lekko głową, nie odrywając wzroku od nut.

W czwartek mam zajęcia rano, z teorii liczb, jedyne przedmiotu, jaki wzięłam w tym semestrze. W czerwcu, kiedy się rozpoczął, elegancja i czystość teorii liczb zachwycała mnie - dzięki niej świat wydawał się ciekawszy, dobrze ukształtowany. Ale teraz jest sierpień. Od dwóch miesięcy majaczenia o wietrze i statkach okradają mnie ze snu. Często pojęcia, które przedstawia nasz profesor, nie mają dla mnie sensu, a czasami dowody, które wcześniej wydawałyby się oczywiste, umykają mi.

Tego ranka znowu przesypiam zajęcia. Kiedy godzina się kończy, profesor bierze mnie na stronę.

- Elektro, uważam cię za jedną z najbardziej obiecujących studentek matematyki. Ale ostatnio zauważyłem pewien, powiedzmy... brak koncentracji. Coś nie tak?

- Nie. Nie, zupełnie nic - mówię przypatrując się moim stopom. Niektórzy mężczyźni - właściwie wszyscy - peszą mnie. Stojąc przed mężczyzną-nauczycielem czuję się jeszcze bardziej nieporadnym kłamcą niż zazwyczaj.

- Przepraszam - mamroczę.- Jestem spóźniona. Naprawdę muszę iść.

Wybiegam z sali w stronę kafeterii, gdzie zazwyczaj jem śniadanie po wykładzie. Zatrzymuję się na terrazzo plaza przed kaplicą, żeby spojrzeć na lśniącą mozaikę fasady, przedstawiającą Pana Jezusa Chrystusa idącego po wodzie po tym, jak uciszył sztorm. Zupełnie bez powodu na ramionach pojawia mi się gęsia skórka. Jest bezchmurny, olśniewający dzień, ciepła bryza wieje od oceanu w stronę lądu, ciężka

zapachem wodorostów.

W tym momencie świat zaczyna wirować i falować i mzupełnie bez ostrzeżenia jestem pogrążona w swoim koszmarze. Tym razem wydaje mi się, że patrzę na czarny statek, wisząc w powietrzu. Jest to ta sama łajba, drewniana, o siedmiu czy ośmiu prostokątnych żaglach. Fale jak góry taranują jej burzę, a ona jęczy pochylając się. Chwytam powietrze w obawie, że kiedy łódź zginie, ja umrę także. Miałam ten sen już wiele razy wcześniej, ale nigdy tak w pełni obudzona, w środku dnia. Staram się zaczepić o solidną realność plaża i lśniącej mozaiki.

Ale kiedy dochodzę do siebie, nie jestem tam, gdzie byłam. Leżę twarzą w dół na szerokich schodach obejmując ramionami drewniany słup - to balustrada, przy której udziela się komunii. Podnoszę wzrok. Poznają kształt łuków nad moją głową i witraże przedstawiające drogę krzyżową. Jestem wewnątrz kaplicy.

Chwiejnie podnoszę się na nogi. Za balustradą widzę ogołocony ołtarz. Haftowany obrus na ziemi, jak stos bielizny do prania. Obok zrzucona wielka Biblia z połamanym grzbietem. Odwracam się. Pomiedzy ławkami leżą mszały. Dym unosi się w widmowych wstążkach z knotów kilkunastu pogaszonych wotywnych świec.

Czas leci jak tkackie czółenka i przemija bez nadziei. Wspomnij, że dni me jak powiew. Słowa te rozbrzmiewają w mojej głowie.

Z trudem chwytam powietrze i rozglądam się wokół sprawdzając, czy nikt nie widział mego wiatrakowatego lotu. Po chwili zmuszam się do wolnego kroku. Idę w kierunku kafeterii, powtarzając cichym szeptem:

- Jestem zmęczona. Na pewno wszystko to sobie wyobraziłam. Jestem zmęczona...

Docieram do kafeterii, kupuję pączka posypanego cukrem i czarną kawę. Kiedy stoję w kolejce do kasy, staram się skoncentrować na sprawach doczesnych, to znaczy na sztuczkach i dokładnym odliczeniu pieniędzy.

Nie ma znaczenia co sobie wmawiam. Wiem, że to, co widziałam, było realne. Kaplica wyglądała, jakby w jej wnętrzu zerwała się burza. Jakby mój nocny koszmar zdarzył się naprawdę. Ale to dziecinny nonsens, a ja już nie jestem dzieckiem. Mam dwadzieścia lat, w listopadzie skończę dwadzieścia jeden - zbyt dużo, żeby lękać się snów. Nigdy w życiu nie byłam na statku. A jeżeli chodzi o wiatr, zawsze uwielbiałam być na dworze, gdy wiał - puszczać latawce lub po prostu spacerować, owinięta w ciepły płaszcz i w kapeluszu. Nie mogę przypomnieć sobie żadnego powodu, dla którego miałabym się bać wiatru czy statków.

Ale kiedy odliczam dwie dwudziestki piątki, jedną dziesiątkę i dwie pięciocentówki i kładę je do ręki kasjerce, jak kleszcze łapie mnie wspomnienie

najważniejszego faktu mego życia. Nigdy nikt nie pozna mnie do końca, nawet ja sama. Nie jestem zwykłą osobą. Jestem, prawdę mówiąc, znajda.

Siadam przy jednym ze stołów na zewnątrz i przyglądam się analitycznie, jak łyżki spływają do mojej parującej kawy. Nie potrafię się zmusić, żeby podnieść wzrok i zobaczyć, kto odsuwa krzesło z drugiej strony stołu.

- Cześć.

To Fairfax. Przykrywa dłonią moją rękę. - O co chodzi?

- pyta.

Potrząsam głową. Nie jestem pewna, czy mogę już rozmawiać, nawet z Fairfax. Ale chwilę później słowa płyną w nieoczekiwanym pośpiechu.

- Ja...szłam przez plaza. Miałam sen.- Mój głos łamie się i milknę bezradna.

Fairfax marszczy czoło. Czy jest to zainteresowanie, czy niedowierzanie?

- Sen? W środku dnia?

Przygnębiona potakuję.

- A kiedy się zbudziłam, byłam wewnątrz kaplicy. Wszystko było w nieładzie. Fairfax, wiatr wiał wewnątrz kaplicy. Pogasił świece, zerwał obrus z ołtarza. Co mam robić?

Uśmiecha się. To jest niedowierzanie.

- Ej - mówi.- Wymyśliłaś to sobie.

- Nie. Nie mogłabym.

Fairfax zaciska usta w cienką, pełną determinacji linię i bierze mnie za ramię.

- W porządku. Pokaż mi - mówi.

Napięcie między nami rośnie, kiedy idziemy w milczeniu z powrotem w kierunku kaplicy. Kiedy dochodzimy, Fairfax otwiera duże drewniane drzwi i zaglądamy w głąb nawy. Oczy Fairfax robią się ogromne, kiedy mierzy wzrokiem zniszczenia. Łapie mnie za ramię i pospiesznie wyciąga z powrotem na plaza, na ławkę pod palmą.

- Elektro, myślę, że powinniśmy porozmawiać - stwierdza.

- Mówiłam ci - odpowiadam.- To się stało naprawdę.

Gwałtownie potrząsa głową.

- To nie może mieć związku z twoim snem. Bądź rozsądna.

- Nie. Tu chodzi o mnie. Wiem na pewno.

- Oszalałaś. To tylko zbieg okoliczności. Może wandalę.

Albo ktoś zrobił głupi dowcip.

- Nie. To ja. Wiatr mnie prześladowuje.

- Świetnie. Jeżeli naprawdę tak myślisz, powinnaś pójść do lekarza.- Prawie krzyczy.

- Lekarz mi nie pomoże!

Fairfax zamyka oczy i po cichu liczy. Kiedy dochodzi do dwudziestu jeden, wstaje i przerzuca torbę z książkami przez ramię.

- Spóźnię się na zajęcia - mówi. Odwraca się i idzie przez plac zostawiając mnie samą pod drzewem.

Widzę ją znowu dopiero po kolacji, kiedy pojawia się w sypialni z uśmiechem na twarzy. Widziałam ten szeroki uśmiech już wcześniej, oznacza, że jest zadowolona z samej siebie i aż pali się, żeby mi o tym powiedzieć.

- Przepraszam za rano - odzywam się. Siedzę ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, przerabiając dowody i oglądając program w moim starym czarno-białym telewizorze, bez jakiegokolwiek pokrętła.

- Och, zapomnijmy o tym. Mam wspaniały plan.

Patrzę na nią zaniepokojona. Jej ostatni wielki plan dotyczący mnie polegał na tym, że miałam sprzedać swoją kolekcję komiksów, żeby kupić używane alfa romeo.

- Spędziłam cały dzień, żeby wszystko dograć. Wiesz, ta marna przyczepa to straszne miejsce dla kogoś, kto ma koszmary związane z wiatrem. Myślę, że powinniśmy się stąd wynieść.

Marszczę brwi. Ona jest taka impulsywna.

- Gdzie miałybyśmy pójść?

Fairfax wyciąga kawałek złożonego papieru z notatką wyraźnie napisaną miękkim ołówkiem drukowanymi literami: MIESZKANIE Z WIKTEM, CENY DOSTĘPNE. DR I PANI AXELROD DESMOND, ULICA MELVILLE'A 713, 322-1732.

- Co to jest?

- Pamiętasz mojego nauczyciela fizyki, Tony'ego DiMarini?

Potakuję. Wspomniała o nim raz czy dwa, mówiąc jaki jest miły. Fairfax, specjalizując się w muzyce, jest w trakcie zmagania się z wymaganym kursem fizyki.

- No cóż, wpadłam dzisiaj na niego po zajęciach - mówi. - Wspomniał, że tam gdzie mieszka, jest parę wolnych pokoi. To stary dom w pobliżu kampusu. Interesujące?

Żuję gumkę mojego ołówka. Wszystko to brzmi dla mnie jak intryga DiMarini'ego.

- Dom należy do emerytowanego profesora angielskiego i jego żony. Wynajmują za grosze pokoje na piętrze studentom, chętnym do pomocy w domu i na podwórzu.

- Brzmi podejrzenie - mówię.

Fairfax wypuszcza głośno powietrze przez nos.

- Elektro! Nie bądź taka.

Zerkam na nią, nagle zdając sobie sprawę, że trzyma coś jeszcze w zanadrzu.

- Skąd wiesz, że to wspaniałe miejsce?

- Wiesz...hmm...zatelefonowałam do pani Desmond. Poszłam obejrzeć dom dzisiaj po południu. Och, Elektro, będziesz go uwielbiać. Jest ogromny. Zrobiony z solidnego kamienia. A Desmondowie są znakomici. Na początku nie chcieli wziąć zaliczki, zanim nie zobaczą ciebie.....- jej głos urywa się. - No tak - mówi. Zakrywa usta dłonią.

- To znaczy, że je wynajęłaś? Nawet mnie nie pytając?

- Wiedziałałam, że będzie ci się podobało, po prostu

wiedziałam i gdybym nie wzięła tego od razu, zrobiłby to ktoś inny. Prawdę mówiąc, Tony wystawił nam dobre świadectwo. Och Elektro, przynajmniej spróbuj.

Fairfax jest rozjaśniona podnieceniem. Jej oczy lśnią jak słońce na zielonym morzu. Naprawdę trudno winić DiMarini'ego, że próbuje być bliżej niej.

Znowu patrzę na adres, starając się być krytyczna: ulica Melville'a 713. Na przekór sobie widzę duży, jasny pokój z widokiem. 713. Szczęśliwa siódemka, pechowa trzynastka. Myślę o tym, jak nasza obskurna, zatłoczona przyczepa trzęsie się przy najmniejszym podmuchu wiatru. Naprawdę tego nienawidzę. Fairfax ma rację. To bardzo niedobre miejsce dla kogoś, kto ma takie sny jak ja.

- Och, w porządku - mówię wreszcie.

Ulica Melville'a znajduje się na wzgórzu po północnej stronie kampusu. Zgodnie z opisem Fairfax numer 713 to dwupiętrowy budynek ze ścianami z polnych kamieni i rozległą werandą. Wiekowa wierzba stoi na straży podwórka. Chodnik, którym idziemy, powypiętrzany jest przez jej korzenie.

Wszystko wskazuje na to, że Fairfax mówiła prawdę. Dom wygląda potężnie, solidnie i zapraszająco. Gdy przychodzi sobota, bierzemy z Fairfax pudła kartonowe z supermarketu i pakujemy w nie nasze rzeczy. Ona zapełnia sześć pudeł, ja piętnaście, już po wyrzuceniu wszystkiego, z czym się potrafię rozstać. Chciałabym, żeby rzeczy nie były dla mnie tak ważne. Czasami podejrzewam samą siebie, że próbuję za ich pomocą odbudować przeszłość, przedmiot za przedmiotem.

Fairfax siedzi na podłodze przerzucając rzeczy z mojej kupki "muszę zatrzymać" do otwartych kartonów, oglądając od czasu do czasu coś, co ją zainteresuje. Mierzy czarną, wyszywaną cekinami rękawiczkę, zaginając mały palec jakby piła herbatę i śmieje się.

- Gdzie jest druga? - pyta.

- O ile wiem, nigdy jej nie było - odpowiadam.

Tony DiMarini zaoferował nam pomoc w przeprowadzce. Myślę o nim nieufnie i bez sympatii. Wyobrażam go sobie jako przystojnego, młodego profesora koło trzydziestki, starannie ubranego w oksfordzką koszulę z podwiniętymi rękawami i uganiającego się po kampusie za każdym co ciekawszym towarkiem. Jest późne popołudnie, kiedy puka w nasze otwarte drzwi. Odchrząkuje i mówi:

- Cześć, czy to tu? - wchodząc do pokoju potyka się o coś niewidzialnego. Podczas gdy z Fairfax pomagamy mu wstać, przestaję go widzieć jako rozpustnika, przypomina raczej czapkę, szczególnie jego nogi, guzłowate i niemożliwie kruche. Ma kręcone, jasne włosy i dziury na siedzeniu dżinsów, przez które można zobaczyć boksyerskie spodenki w szkocką kratę. Zaczynam go lubić prawie od pierwszej chwili,

prawdopodobnie dlatego, że wcale nie jest taki, jak się spodziewałam. Jeżeli jest zainteresowany Fairfax, będzie się musiał ciężko napracować.

Samochód Tony'ego to limuzyna ze zwisającym przednim zderzakiem i silnikiem, który hałasuje jak pociąg towarowy.

- Bonneville 1964. Teraz już takich nie robią - mówi z dumą poklepując maskę. Samochód jest tak wielki, że wszystkie dwadzieścia jeden naszych kartonów łatwo mieści się na tylnym siedzeniu i w bagażniku. Dla nas trojga jest mnóstwo miejsca z przodu.

Kiedy dojeżdżamy do nowego domu, Lawinia Desmond wita nas w drzwiach.

- Roddy, Roddy! - woła prowadząc nas przez przedsiónek. - Przyjechała Mary Fairfax z przyjaciółką.

Roddy wystawia głowę zza rogu, wrywa różaną fajkę spomiędzy sinawych warg i macha radośnie.

- Witaj, Mary. - Patrzy w moim kierunku opuszczając krzaczaste brwi. - A ty musisz być...? - mówi.

- Elektra Thorpe.

- Oczywiście. Wspaniale, wspaniale - woła.

- Mówiłam już Mary, jakie zasady obowiązują w tym domu - mówi Lawinia prowadząc nas na górę po wyfroterowanych schodach z twardego drewna. - Ale powtórzę jeszcze raz. Nie zgadzam się na papugi. Nie jestem w stanie znieść czyszczenia wszystkiego, co zostawiają na ścianach. Starajcie się zachowywać cicho po drugiej w nocy. I żadnych grupowych kąpieli.

- Moja kochana Lawinio, jesteś taka kołtuńska - stwierdza Roddy.

Lawinia mówi dalej, niewzruszona:

- Czysta pościel i ręczniki raz na tydzień, 150 dolarów miesięcznie, w tym posiłki. I prawdopodobnie poprosimy was, żebyście zrobiły od czasu do czasu coś w kuchni i ogrodzie.

Dochodzimy na drugie piętro. Stoimy w wąskim hallu z dwójgiem drzwi po prawej i dwójgiem po lewej stronie. Dzień jest ciepły, ale w domu, nawet tak blisko dachu, panuje chłód. Przez owalne okienko w odległym końcu hallu widzę gałęzie wierzby ocieniające na zielono ściany i kołyszące się w popołudniowym powietrzu.

Lawinia trzyma dwa identyczne klucze, takie staroświeckie, z dziurką w rączce i szerokim, łamanym zębem na dole.

- Klucze do domu - mówi wręczając każdej z nas po jednym. Potem przyciska wskazujący palec do policzka. - Niech się zastanowię. Czy o czymś zapomniałam?

Tony uśmiecha się. W jego bladych policzkach widać dołeczki.

- Może rozkład dnia? - pyta.

- Och tak. Śniadanie o siódmej, kolacja o ósmej. Obiad to już wasza sprawa. Ale o piątej w gabinecie Roddy'ego jest

codziennie herbata. Oczywiście jesteście mile widziane.

Potem ciągnie Roddy'ego za rękaw koszuli.

- Teraz chodź. Potrzebuję cię w kuchni, otworzysz mi parę słoików.

- Świetnie, świetnie - mówi Roddy. - Bardzo miło mieć was tutaj.- Jego głos odbija się od twardego drzewa. Dźwięk wypełnia mnie przyjemnym ciepłem, które zwykłam odczuwać w sierocińcu, kiedy siostra Mary Rose kołysała mnie po moich złych snach.

Tony, Fairfax i ja stoimy sami w mrocznym korytarzu uśmiechając się do siebie. Może wszystko będzie dobrze.

Wybieram pokój obok łazienki, wysoki i jasny, tak jak to sobie wyobrażałam. Ściany ma jasnozielone, a sufit skośny. Okno zrobione jest z małych, kwadratowych szybek, a pod nim stoi szeroka drewniana ława. Jeżeli pokój ma w ogóle jakieś wady, jest to widok na morze. Dawniej nic bardziej by mnie nie cieszyło. Ale od czasu kiedy zaczęły się sny, widok oceanu czasami napelnia mnie niepokojem. Wolałabym raczej drugi pokój, ten obok Tony'ego, z oknami wychodzącymi na ulicę. Ale obawiam się, że jeśli koszmary nocne wrócą, będę go niepokoić, a nie chciałabym, żeby się o nich kiedykolwiek dowiedział.

Na początku żyję przez cały czas w napięciu, czekając na pierwszą złą noc, spodziewając się jej za każdym razem po zgaszeniu światła. Ale dni mijają, a sen nie wraca. Mimo woli zaczynam się uspokajać. Sierpień przechodzi we wrzesień. Pomagamy Lawinii zbierać granaty. Rozgniatamy połówki owoców w sterylizowanych, kamiennych garnkach, a Lawinia dodaje drożdży i cukru, żeby rozpocząć fermentację winną.

- Najmilszy rytuał w roku - mówi. Stoimy rzędkiem przy zlewie, obryzgni szałwiami, uderzając widelcami, nożami i drewnianymi łyżkami w rytm rockowej muzyki dobiegającej z przenośnego magnetofonu Lawinii. Tony uśmiecha się złośliwie sięgając, żeby pomazać mój nos ściekającą z jego palca czerwienią. Kuchnia wypełniona jest wyśmienitym oparem i zapachem rozgrzanej kamionki.

Na uczelni zaczyna się semestr jesienny. Zapisuję się na kurs matematyki wyższej i nieeuklidesowej geometrii, znów pełna zapału i podekscytowana elegancją cyfr. Czas łagodzi ostrza mojej pamięci. Może koszmary odeszły na zawsze, może mimo wszystko nie będzie tak źle. Tylko raz w czasie całego tego okresu odezwało się słabe echo dawnego horroru. Pewnego popołudnia, kiedy wracam po zajęciach do domu, spostrzegam nazwę ulicy odcisniętą na betonowym krawężniku na rogu, tuż przed domem. Jestem zdziwiona, że napis nie brzmi Melville, a Loma de Viento. Nie wiem, co te słowa oznaczają. Nie znam hiszpańskiego. Otrząsam się i szybko idę do domu, czując się nieswojo.

W chłodne popołudnie w środku listopada Tony, Fairfax i ja wkładamy swetry i wyciągamy wiklinowe fotele z ganku na trawnik przed domem. Ogrzewając palce na kubkach z gorącą czekoladą oglądamy całkowite zaćmienie księżyca. Przez prześwity w chmurach widzimy księżyc, który jest najpierw srebrnym jajem, by potem stać się czerwonym paznokciem, a Tony opowiada. Niskim, sennym głosem mówi o swojej pracy w laboratorium, gdzie prowadzą eksperymenty z jądrem niobu, starając się udowodnić istnienie swobodnych kwarków. Ze śmiechem spieramy się, czy fizyka jest częścią matematyki, czy matematyka fizyki. Fairfax zapewnia nas, że muzyka jest esencją obu.

Ciągle czekam, żeby przysunął się do niej bliżej, objął ją ramieniem. Ale nigdy tak się nie dzieje. Prawdę mówiąc, wydaje się tak pograżony w naszej rozmowie o matematyce i fizyce, że nie dostrzega niczego poza tym. Sprawy serca są dla mnie tajemnicą. Mam prawie dwadzieścia jeden lat i ciągle jestem dziewicą. Czasami zastanawiam się, czy nie powinnam była zostać u Naszej Pani, Patronki Portu. Myśl o zostaniu zakonnica nigdy nie była mi zbyt odległa.

Później, sama w moim pokoju, zasypiam myśląc o Tonym, jego żywej twarzy w świetle gwiazd i czerwonego księżyca, o jego oddechu pachnącym kakao jak u małego chłopca. I koszmar przychodzi znowu.

Tym razem porządek wydarzeń sennych jest inny niż poprzednio. Jestem w czarnej kaplicy na pokładzie kołyszącego się statku. Ale jedną ze ścian zastępuje ogrodzenie z siatki. Takie samo jak to, które okalało plac zabaw w sierocińcu. Mężczyzna, jakby znajomy, stoi trzymając się go kurczowo. Nie widzę jego twarzy, ale myślę, że jest to Tony, brodaty, zgarbiony, w żeglarskim płaszczu.

- Elektro - woła. I wyśpiewuje słowa: Czas leci jak tkackie czółenko i przemija bez nadziei. Wspomnij, że dni moje jak powiew.

Nagle przypominam sobie tego mężczyznę ze swego dzieciństwa. To nie jest Tony. To wcale nie jest Tony.

Słowa, kiedy wychodzą z jego ust, a nie z moich, nie mają żadnego efektu. Wiatr śmieje się z niego, zagłusza go wyciem. Umowa jest umową. I coś jeszcze, coś nowego. Już czas. Przemija. Wiatr łapie mnie i okręca wkoło, aż zaczynam krzyczeć.

Wydaje mi się, że słyszę jeszcze echo tego krzyku, kiedy się budzę. Okno jest otwarte, huśta się w przód i w tył na zawiasach. Ten człowiek. Przez wszystkie lata przesłoniły go inne wydarzenia, inni ludzie. Jak mogłam o nim zapomnieć?

Ktoś gwałtownie otwiera drzwi.

- Elektro! - Tony stoi w bladym prostokącie drzwi. - Jezu - szepcze bardzo wolno - Jezu!

Przerażenie w jego głosie każe mi rozejrzeć się wokół. Obrazki zerwane ze ścian. Książki i papiery porzucane.

Moje łóżko stoi pionowo, a rama i materace leżą oddzielnie na podłodze za mną. Pierze z mojej poduszki spada w powietrzu leniwie wirując.

- Co się dzieje? - Fairfax pojawia się za Tonym, pośpiesznie starając się zawiązać pasek przy szlafroku.

Słyszę gwałtowne kroki na schodach i głos Roddy'ego:

- Odłóż tę rzecz, Lawinio! Pozabijasz nas wszystkich.

Ktoś zapala światło. Lawinia, bez tchu, wpada do pokoju, wymachując zakurczonym pistoletem, który wyrывa jej Roddy. Potem wszyscy zamierają w osłupieniu, patrząc na ruinę, jaką stał się mój pokój.

Fairfax pierwsza wykonuje ruch. Biegnie do okna, wystawia głowę na zewnątrz, patrzy w górę i w dół na podwórko.

- Nic nie widzę - mówi - Musieliśmy go wystraszyć.

W głowie wciąż mi się kręci od snu.

- Nikogo nie było - mówię. - Tylko wiatr.

Tony, ubrany w pizamę całą w malutkie, wyblakłe lilie burbońskie, przeczesuje palcami włosy.

- Wiatr? Jak wiatr mógłby to zrobić. Nawet nie wieje.

Fairfax warczy na niego.

- Nie widzisz, że ona na wpeł śpi i jest przerażona?

Oczywiście, że to nie był wiatr.

Ale Lawinia przechodzi przez pokój i zamyka okno.

Zupełnie poważnie mówi.

- No cóż, to jest całkiem możliwe. Tu na wzgórzu mamy czasami kapryśne wiatry. Kiedyś ta ulica nazywała się Loma de Viento, zanim nie zdecydowano, że wszystkie nazwy w okolicy muszą mieć coś wspólnego z literaturą. Idiotyzm.

Znowu słyszę dzwonięcie w głowie, tak jak wtedy, kiedy zobaczyłam słowa wyryte na krawężniku.

- Loma de Viento. Co to znaczy? - pytam słabym i drżącym głosem.

Roddy prychnie.

- To był zły dzień, kiedy przestała w szkołach obowiązywać łacina - podkreśla słowa wymachując lufą pistoletu.

- Na litość boską, uważaj, gdzie tym celujesz - mówi Lawinia. Zwraca się do mnie: - W wolnym tłumaczeniu to oznacza Wichrowe Wzgórze, kochanie.

Kiedy Tony i Desmondowie odchodzą do swoich pokoi, Fairfax łapie mnie za ramiona.

- To był sen, tak?

Potakuję.

- Czy myślałaś kiedyś...wiesz, istnieją ludzie, którzy mogą poruszać przedmioty za pomocą siły woli. Ja nawet nie wiem, jak to nazywają. Psycho-coś tam. - Nachyla się w moją stronę. - Elektro, boję się o ciebie. Musisz coś z tym zrobić. Porozmawiać z kimś. Proszę.

Walczę, żeby utrzymać równowagę na granicy śmiechu i łez.

- Z kim mogę porozmawiać? Tylko mi to powiedz. Kto wie

jak powstrzymać wiatr?

Odpywam na powierzchnię wyczerpanego snu, myśląc o naszym adresie. Loma de Viento: Wichrowe Wzgórze 713. Racjonalna część mnie upewnia tę nieracjonalną, że to tylko zbieg okoliczności; koncepcja, że nasz los jest zaplanowany z góry, jest niemodna, nic w mojej mrocznej, nieznannej przeszłości nie spowodowało, że przeniosłam się do tej części miasta, gdzie wieją kapryśne wiatry.

Te myśli prowadzą do innych, o mężczyźnie ze snu. Wiem, skąd pochodzą słowa odpowiedzi z koszmaru nocnego. Jest mglisty dzień na placu zabaw w sierocińcu. Mam sześć lat. Po drugiej stronie ogrodzenia widzę mężczyznę. Jest zawinięty w duży, ciemny płaszcz. Ma żeglarską czapkę z ptasim dziobem i cudowną, zmierzwioną brodę. Idę w jego stronę, zafascynowana. We mgle wygląda tak dwuwymiarowo i nierealnie. Wymawia moje imię. Jego oddech jest ostry i cierpki. Jego głos dziwny - ochryply, łamiący się...Płacze. Szepcze słowa. Czas leci jak tkackie czółenko i przemija bez nadziei. Wspomnij, że dni me jak powiew. Potem, potykając się, ucieka w mgłę.

Kiedy budzę się następnego ranka, Fairfax już ćwiczy na wiolonczeli, myląc się ciągle. Powtarza ten sam pasaż raz po raz, głośno i niecierpliwie. Dzień jest jasny i spokojny, słońce wlewa się przez okno, gdy podnoszę pomięte papiery, wieszam z powrotem obrazki i ustawiam swoje drobiazgi w ich normalnym porządku, będącym nieładem. Nic nie zostało zniszczone. Wszystko wygląda tak jak wcześniej - może nieco mniej zakurzone.

Sumiennie przeżuвам i połykam śniadanie, przeżuвам i połykam, i upewniam wszystkich, że czuję się dobrze. Roddy rozpoczyna pełną szczegółów opowieść o wielkim sztormie w pięćdziesiątym ósmym, który powyrywał drzewa z korzeniami, pozrywał linie wysokiego napięcia i zostawił połowę domów w Loma de Viento bez dachów. Uśmiechając się i krojąc żółtko w swoim sadzonym jajku zapewnia nas, że nie dotyczyło to domu pod numerem 713. W Las Piedras nie ma solidniejszej budowli.

Tego popołudnia zbieramy się na herbatę w gabinecie Roddy'ego. Najbardziej lubię ten pokój. Jego ściany wyglądają jakby były zrobione z książek. Pojedyncze okno z szybkami oprawionymi w ołów i kamienny kominiek wyzieraają pomiędzy złotych tytułów i zakurzonych opraw. Kręcimy się pomiędzy zbyt dużą ilością krzeseł popijając Earl Greya i Souchong. Roddy chrupie imbirowe ciasteczka robiąc Fairfax wykład o pochodzeniu jej imienia. Nikt nie mówi nic na temat wiatru.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności - stwierdza Roddy. - Nazwisko Fairfax pochodzi od staroangielskiego fyrfeax i znaczy płomiennowłosa.

Słaby uśmiech przebiega przez jej twarz, pierwszy tego

dnia. Oczywiście przypadek nie ma z tym nic wspólnego. W Naszej Pani, Patronce Portu, obowiązkiem siostry Jude, matki przełożonej, było znajdowanie imion. Kiedy tylko nie modliła się, albo nie siedziała zamknięta w swoim biurze, spędzała czas ślęcząc nad księgą Beowulfa lub opowieściami o królu Alfredzie.

Roddy odwraca się do mnie z ożywieniem.

- Ty także się interesująco nazywasz - mówi.

- Co...Thorpe? - nic nie wiem na temat mojego nazwiska poza tym, że wybrała je siostra Jude, prawdopodobnie w dniu, kiedy miała mniej inwencji. Zawsze wyobrażałam ją sobie, jak zamyka oczy i wskazuje na chybił trafił nazwisko Thorpe w książce telefonicznej.

- No...Thorpe jest interesujące, ale nie tak bardzo.

Pochodzi od thearf, co oznacza potrzebę lub strapienie.

Jakże odpowiednie dla niemowlęcia znalezionego wieczorem na schodach sierocińca, którego ciało chronił przed mgłą jedynie stary marynarski płaszcz. Może nie doceniałam siostry Jude przez te wszystkie lata.

- Nie, myślałam raczej o imieniu Elektra - mówi Roddy.- Naprawdę fascynujące imię. Przypuszczam, że nosił je ktoś w twojej rodzinie.

Desmondowie nie wiedzą jeszcze o naszym pochodzeniu. Chciałabym powiedzieć Roddy'emu, że zostałam nazwana tak po swojej babce ze strony matki lub na cześć bliskiej przyjaciółki rodziny. Ale prawda jest taka, że dostałam imię Elektra, ponieważ zakonnica odkryła je nabazgrołone na kawałku zabrudzonego płótna znalezionego przy płaszczu, w który byłam owinięta.

- Moja rodzina nie ma jakiejś specjalnej historii - odpowiadam, mając nadzieję, że to zniechęci Roddy'ego. Ale oczy mu błyszczą i ciągnie dalej.

- Poza oczywistymi miejscami takimi, jak mity, książki Freuda i takie tam, natrafiłem na to imię tylko jeden raz. To cała opowieść. Był stary statek o nazwie "Elektra", żeglował w dół i w górę brzegu koło San Francisco. To był zabytek, barka przerobiona dla celów turystycznych. Rodzaj atrakcji. Wyglądała wspaniale płynąc w stronę Golden Gate. Była całkiem ładna. Nieważne, że stara. Dużo starych rzeczy jest ładnych - zerknął na Lawinię.

W gabinecie jest za gorąco. Patrzę w stronę okna. Może powinnam je otworzyć.

Roddy pyka swoją fajkę. Chmury słodko pachnącego dymu kotłują się w świetle słonecznym.

- Całkiem zdumiewająca historia. Złapał ją okropny sztorm w pobliżu Farallons i zatonięła. To był listopad. Jakieś dwadzieścia lat temu. Sądzę, że to był rok, w którym Sartre odrzucił Nobla - wpatrywał się w sufit obliczając w pamięci.

- Więc było to dokładnie dwadzieścia jeden lat temu.

Kręci głową.

- Nie powinna wypływać poza sezonem. Mogło to być prawdziwe nieszczęście, ale kapitan uratował wszystkich, pasażerów i załogę. To znaczy wszystkich poza jednym niemowlęciem. Całkiem bohaterka historia. Możecie sobie wyobrazić, co to był za dzień dla dziennikarzy.

Statek noszący moje imię zatonął w tym miesiącu, w którym się urodziłam i jedyną ofiarą było nowo narodzone dziecko. Po prostu ciąg zbiegów okoliczności. To wszystko. Nie czuję się zbyt dobrze. Filiżanka wyslizguje się z mojej dłoni. Słyszę, jak pęka, uderzając o krawędź stołu; odległy dźwięk jak brzęczenie dzwonek na wietrze.

Chwiejnie przechodzę przez pokój, by otworzyć okno. Jeszcze zanim udaje mi się je uchylić, brutalny poryw wiatru wyszarpuje mi je z rąk i wrywa z zawiasów.

Dywan zamienia się w rozzłoszczony ocean. Widzę statek, maszty w drzazgach, żagle w strzępach, wiatr niesie deszcz w horyzontalnych płachtach. Deszcz. Wydaje się, że powietrze jest nim przesycone. Zza ściany czarnej wody wyłania się siostra Jude trzymając coś prostokątnego i białego. Ale wiatr odbiera mi oddech, okręca mnie wokół jak liść i nie mogę dosięgnąć tego, co ona chce mi ofiarować.

Niejasno czuję czyjś mocny uścisk na ramieniu. Myślę, że to jest Tony. Czy może jest to wiatr? Potem świat przeradza się w dźwięk. Wiatr wyje. Umowa jest umową. To najważniejsze.

Leżę w łóżku, przykryta ciężkim kocem. Fairfax drzemie siedząc przy oknie, głowa jej opada. Tony siedzi koło mnie czytając grubą, zieloną książkę o paranormalnych zjawiskach psychologicznych. Jedno oko ma podbite, a głowę zabandażowaną.

- Co ci się stało? - pytam.

Patrzy na mnie, zaskoczony.

- Och, nic - mówi.- Hej, Fairfax. Obudziła się.

Fairfax podrywa się, jej wzrok jest jeszcze błędny od snu. Za nią przez okno widzę, że na dworze jest ciemno. Słyszę odległy ryk syreny przeciwmgielnej z cypla w Las Piedras. Ten dźwięk sprawia, że dom jest jakby otulony w watę, to szczególne wrażenie, jakby się było unieruchomionym.

- Jak długo spałam? - pytam.

- Całe godziny - mówi Fairfax.- Czy pamiętasz, co się stało?

- Nie. Było głośno. Otworzyło się okno. Śniłam, tak?

- To było coś więcej niż sen - powiedział Tony. - Biblioteka wygląda jak po najeździe wojsk tatarskich. Roddy i Lawinia na dole nadal zbierają książki i zamiatają szkło.

Siadam i próbuję, czy nogi mnie utrzymają. Czuję się jakby ktoś mnie zdzielił deską w głowę.

- Wracam do sierocińca - mówię. - Muszę porozmawiać z siostrą Jude.- Ale kiedy próbuję stanąć, kolana uginają się

pode mną i upadam z powrotem na łóżko.

- Spokojnie - mówi Tony. - Fairfax opowiedziała mi wszystko o tym waszym sierocińcu. Jedno jest pewne. To zbyt daleko, żeby jechać w takiej mgle.

Fairfax gwałtownie wstaje, dłonie ma zaciśnięte.

- Elektro, na wydziale psychologii jest profesor, który interesuje się takimi problemami jak twoje. Myślę, że powinniśmy się z nim zobaczyć. Sierociniec może poczekać do jutra.

Biorę głęboki oddech. Pamiętam, jak zwykłyśmy klócić się o różnicę pomiędzy tym co niepojęte, a tym, co niemożliwe. Nigdy nie mogłam ją nauczyć wierzyć w pierwiastki kwadratowe z liczb ujemnych lub w liczby nieskończone, a nawet w zbiór pusty.

- Nawet nic to jest coś - mówiła.

Prawdopodobnie koncepcja wiatru jako świadomości była równie trudna.

- Nie potrzebuję psychologa, Fairfax. Muszę zobaczyć się z siostrą Jude.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że Tony omal nie zginął osłaniając cię przed latającym szkłem i książkami? A teraz ty pleciesz o wyjeździe, żeby zobaczyć jakąś na wpół stukniętą zakonnice, która jest tak oddalona od rzeczywistego świata, że prawdopodobnie nawet nie dba o to, który mamy rok. Życie innych ludzi jest w niebezpieczeństwie, czy wiesz o tym? To już nie chodzi tylko o ciebie! - prawie wykrzykuje ostatnie zdanie.

Tony dotyka mojego ramienia.

- Słuchaj, Elektro. Ja nic nie wiem o parapsychologii - nie jestem nawet pewien, czy w nią wierzę. Ale jestem naukowcem. I wiem na pewno, że jeżeli masz jakiś szczególny problem to najlepszym sposobem, żeby zacząć szukać rozwiązania jest iść za każdym śladem, jaki się ma - nawet najdziwniejszym. Może Fairfax ma rację. Może ten facet potrafi ci pomóc. Jak możesz się tego dowiedzieć, jeżeli się z nim nie spotkasz?

Iść za każdym śladem, nawet najdziwniejszym. Prawie uśmiecham się nad ironią słów Tony'ego. Patrę przez okno na szarą ścianę mgły. Gdzieś za nią, wzbijając pianę z fal, świszcząc pomiędzy nadbrzeżnymi skałami, czeka na mnie wiatr. Nie czas na dumę.

Siadam sztywno wyprostowana.

- Weźcie mnie do sierocińca. Tylko mnie tam zabierzcie, a obiecuję, że jutro pójde zobaczyć się z tym psychologiem.

Fairfax wysuwa do przodu szczękę.

- Czy ktokolwiek u Naszej Pani, Opiekunki Portu, może lepiej coś zrobić niż psycholog?

- Mogą opowiedzieć mi o mojej przeszłości.

Przełyka ślinę i milczy.

Roddy i Lawinia patrzą z progu, jak wślizgujemy się na przednie siedzenie samochodu Tony'ego.

- Nie rozmyślcie się? To okropna noc na jazdę - mówi Lawinia.

Roddy gładzi ją delikatnie po plecach i macha do nas.

- Bądźcie bardzo ostrożni - mówi.

Do San Francisco nie jest daleko. W jasny dzień droga zabrałaby nam tylko trzydzieści, czterdzieści minut. Ale dzisiejszej nocy jest inaczej. Mgła jest tak gęsta, że rozprasza światła na tablicy rozdzielczej. Dla mnie wygląda to tak, jakbyśmy siedzieli w zaparkowanym samochodzie z wentylatorem dmuchającym w twarz. Tony zapewnia mnie, że poruszamy się z prędkością dwudziestu mil na godzinę. Nie wiem, czy przeklinać mgłę, że tak nas opóźnia, czy modlić się, żeby nie zniknęła. To jest omen. Znak. Tak długo jak nas otacza, wiem, że wiatr będzie trzymał się z daleka.

Jest prawie wpół do jedenastej, kiedy docieramy do Naszej Pani, Patronki Portu. Wyszuszone cegła ścian wynurza się z nocy pełna ciemnych okien. Godzina komplety dawno minęła, ale Małe Siostry pod wezwaniem świętego Kamiliusa nigdy nie odtrącają gości w potrzebie. Zawsze ktoś jest na służbie. Tony, Fairfax i ja stajemy przed masywnymi drzwiami i naciskamy nocny dzwonek.

Wydaje się, że mijają godziny, zanim dochodzi nas głos zza niewielkiego, okratowanego okienka w drzwiach.

- Kto tam?

- Elektra Thorpe, Mary Fairfax i przyjaciel - odpowiadam.

- Elektra? Mary Fairfax? - Rygle zostają szybko odsunięte, drzwi szeroko otwarte i oto stoi siostra Michaela. Uśmiech pełnie przez jej bladą, roztargnioną twarz. Prawdopodobnie oderwaliśmy ją od jakiejś prywatnej modlitwy. Ścisza nas i prowadzi przez westybul w stronę biblioteki.

- Wyglądacie na takich zmarzniętych, kochane biedactwa. Ale jak cudownie was widzieć! Chodźcie, chodźcie. Napaliłam w piecu. Czytałam właśnie świętego Augustyna. Czy wiecie coś o nim?

Tony śmieje się cicho.

- Kurs filozofii z pierwszego roku. Starał się dowieść, że dobro jest silniejsze od zła.

- Tak. I udało mu się. Przynajmniej w takim zakresie, jaki interesuje Kościół - mówi siostra Michaela. Uśmiecha się do niego z nagłą serdecznością.

Fairfax rzuca się na poplamione i pocerowane krzesło.

- No i co, Elektro? Nie ma się czym przejmować. Dobro w końcu zatriumfuje.

- O co ci chodzi, moje dziecko? - pyta siostra Michaela.

Fairfax krzyżuje ramiona i zsuwa się głębiej na krzesło.

- Ich pytaj.

Siostra Michaela podnosi pytający wzrok na mnie, jej

twarz jest na wpół zasłonięta przez brązowy kwef.

- Przepraszam, siostrze. Nie mam czasu na wyjaśnienia.

Przyjechałam, żeby zobaczyć się z siostrą Jude. To pilne.

Patrzy na mnie z ciekawością.

- Co za dziwny zbieg okoliczności. Szukała cię.

Staram się przełknąć ślinę mimo suchości w gardle.

- Nic nie wiedziałam.

Kiwa głową.

- Siostra Jude jest chora. W zeszłym miesiącu miała łagodny zawał. Jeśli nie jest to szczególnie ważne, raczej wolałabym jej nie budzić. Mogę wziąć twój adres i numer telefonu...

Czuję, jak rośnie we mnie panika.

- Zawał? Czy ona wyzdrowieje? To nie jest poważne, prawda?

- Nie ma powodu do niepokoju. Była w szpitalu tylko przez kilka dni, ale to ją osłabiło. Wiesz, jak to jest.

- Rozumiem, ale...proszę. Ja...proszę. To jest ważne.

Przez chwilę przygląda mi się. Zastanawiam się, co widzi w mojej twarzy. Lęk? Wstaje i idzie w stronę drzwi.

- Poczekajcie - mówi.

Nie ma jej przez długi czas. Siedzimy w ciszy, słuchając zegara na kominku. Zegar wybija jedenastą i słyszemy szuranie kapci po kamiennej podłodze.

Siostra Jude zawsze była stara, ale teraz naprawdę wygląda starożytnie. Jej kręgosłup jest zgięty. Przygląda się swoim stopom z dużym napięciem kuśtykając, opierając się na sękatej, czarnej lasce. Ma na sobie brązowy, wytarty szlafrok. Srebrne włosy wyciekają spod kwefu.

Kiedy siada na jednym z krzeseł przy kominku, unosi głowę z wysiłkiem. Cię uśmiechu przebiega przez jej twarz.

- Witam cię, Elektro. Skąd wiedziałas, że myślę o tobie? - Jej lewa powieka opada martwa i nieruchoma, ale prawe oko lśni w blasku ognia.

- Miałam sen - mówię. - W tym śnie chciałaś mi coś dać.

Siostra Michaela wydaje cichy dźwięk - prawie skomlenie - i przyciska dłoń do ust.

- Coś nie tak? - pytam. - Dobrze się czujesz?

Zdrowa część twarzy siostry Jude zastyga wyrażając niezdecydowanie i jakby ból.

- Być może jesteśmy świadkami cudu - mówi. - Staralam się z tobą skontaktować, ale uniwersytet nie miał aktualnego adresu. Modliłam się do Boga, żeby zesłał cię tutaj. -

Łagodny, suchy śmiech jak szept wydobył się z jej gardła. - Przez całe swoje życie myślałam, że epoka cudów minęła.

Sięga w fałdy swego szlafroka i wyciąga białą kopertę, rozerwaną wzdłuż brzegu. Wręcza mi ją.

Czytam napis na kopercie. Elektra, u Sióstr Małych pod wezwaniem świętego Kamiliusa, Dom Dziecka, San Francisco, Kalifornia. Adres zwrotny: Tawerna Jimmy'ego, ulica Misyjna,

San Francisco. Słowo PILNE napisane drukowanymi literami biegnie natarczywie wzdłuż dolnego brzegu. Pismo jest chwiejne, ale wyraźne.

Wewnątrz znajduje się kawałek papieru: Droga Elektro. Zostało już niewiele czasu. Zbliżają się twoje dwudzieste pierwsze urodziny, a taka była umowa. Przez to, co zrobiłem, zżera mnie zgryzota i przed pójściem do grobu muszę ci to wyznać. Jeżeli Bóg jest choć odrobinę łaskawy, znajdziesz mnie u Jimmy'ego na Misyjnej, każdej nocy w tym tygodniu. Pytaj o kapitana Fletchera.

- Co to jest? - Fairfax wyskakuje ze swego krzesła i łapie list. Tony czyta nad jej ramieniem.

- Jaka jest data na stemplu? - pyta.- Kiedy to było nadane?

Trzymam zapomnianą kopertę pomiędzy palcami lewej ręki. Tony bierze ją ode mnie, patrzy na znaczek, potem na zegarek.

- Wysłane w poniedziałek, trzynastego października. Dzisiaj jest piętnasty, prawie szesnasty. Nadal tam będzie. - Spogląda na mnie. Na jego twarzy widzę zmarszczki, których wcześniej nigdy tam nie było.

- Mogę się założyć, że to jej ojciec, ten skurwysyn! - mówi Fairfax. - Jak mógł być tak okrutny?

- Dlaczego to ma być okrutne, Mary? - pyta siostra Jude.

- Jeżeli on jest jej ojcem, nie okrucieństwo kazało mu napisać taki list.

Klękam koło krzesła siostry Jude.

- Proszę - mówię.- Co wiesz o mnie? O nim? O tej nocy, kiedy mnie tu znaleźli?

Uśmiecha się. Rozgarnia moje włosy. Jej ręka jest szorstka i koścista.

- Przykro mi, Elektro. Mało jest do powiedzenia o tobie, o wszystkich naszych dzieciach.

- Musi być coś. Coś.

Unosi lekko w górę głowę, a zmarszczki na jej czole pogłębiają się.

- Pamiętam, w jaki sposób nadałyśmy ci imię

- mówi.- Byłaś owinięta w marynarski płaszcz, przy którym znalazłyśmy kawałek płótna z napisem "Elektra". Uważałyśmy, że nadajemy ci imię po statku. Po statku, który zatonął. Czy to wiedziałaś?

Kiwam głową. Zastanawiam się, jak szybko bije serce myszy lub kolibra. Nie szybciej niż moje.

- Cóż. To wydawało się pasować. "Elektra" zatoneła tuż przed tym, jak się zjawiłaś, a na jej pokładzie zginęło dziecko.

Daję ulgę mojemu pulsującemu czołu opierając je o krzesło. Drewno jest chłodne i przyjemne w dotyku.

- Zjawiłaś się w listopadzie. Podczas sztormu, w czasie którego zaginął ten statek.

- Moje urodziny są 17 listopada.
- Nie...nie, obchodzimy urodziny podrzutka w rocznicę jego przybycia do nas. Więc chociaż zjawiłaś się tutaj w połowie listopada, twoje prawdziwe urodziny muszą przypadać sporo przed tą datą. - Uśmiecha się oddalając od nas myślą. - Nigdy ani wcześniej ani później nie widziałam dziecka o tak jasnych oczach. Byłaś taka ciekawa świata.

Te ostatnie słowa ledwo słyszę. Jestem zajęta zbieraniem okrucich dowodów. Jeżeli siostra Jude ma rację, jestem o miesiąc starsza niż myślałam. Moje dwudzieste pierwsze urodziny mogą być dzisiaj, albo wczoraj czy jutro, a nie w przyszłym miesiącu.

- Siostrze Jude, czy domyślasz się, kto mógł napisać ten list? - pyta Tony.

Siostra potrząsa głową.

- Nie. Tak, jak mówi Fairfax, prawdopodobnie jej ojciec.

Powoli pewna myśl przedziera się przez moją podświadomość. Teraz spływa na miejsce pomiędzy wszystkimi innymi myślami.

- On jest tym mężczyzną we mgle - mówię. - Żeglarzem stojącym za ogrodzeniem placu zabaw. Jestem tego pewna. Muszę go znaleźć. Im szybciej, tym lepiej.

- Co za mężczyzna we mgle? - pyta Fairfax.

- Mężczyzna, którego widziałam jako małą dziewczynka. Przyśnił mi się tej nocy, kiedy było zaćmienie.

Tony odwraca się do mnie, jego twarz jest dziwnie łagodna w świetle ognia.

- Elektro, wiesz, że koło misji kręcą się nieraz zupełnie stuknięci ludzie. Pozwól mi go znaleźć, porozmawiać z nim, upewnić się, że on nie planuje czegoś...czegoś, co by cię mogło skrzywdzić.

Kładę rękę na jego ramieniu, dotykając go po raz pierwszy. Nawet przez koszulę i postrzępiony sweter czuję jego ciepło. A może to tylko moje ręce są zimne.

- Dziękuję, ale nie ma czasu - mówię prawie szeptem.

Fairfax robi dwa kroki w moim kierunku, zatrzymuje się, zaciska pięści.

- Nie idź, Elektro. Boję się. Coś jest nie tak.

Uśmiecham się do niej. Czuję jakby ten uśmiech ogrzewał mnie od środka.

- Ty wiesz, jak to jest, Fairfax. Wiem, że wiesz. On może mi powiedzieć, kim jestem.

Biorę rękę siostry Jude między moje dłonie. Znałam ją całe swoje życie, a teraz odchodzę, cóż mogę powiedzieć? Ale ona odzywa się, zanim mnie się to udaje.

- Myślę, że wrócisz - mówi.

Moje gardło jest tak ściśnięte, że ledwie jestem w stanie odpowiedzieć.

- Jeżeli będę mogła, wrócę.

Patrzy na mnie swym jednym, przeszywającym okiem.

- Weź mój krzyż - mówi, nachylając się, żebym mogła rozpiąć łańcuch okalający jej szyję. Jej głos jest twardy, zimny, pełen autorytetu, którego nikt nie może zignorować.

- Tak, siostró - odpowiadam automatycznie, jak nieskończoną ilość razy wcześniej, kiedy nauki i polecenia nie były tak ważne jak w tej chwili. Sięgam i rozpinam zamek. Krzyż jest mały, zrobiony z ciemnego drewna, ręcznie rzeźbiony w zawiły wzór. Zapinam łańcuch na własnej szyi.

- Jest taki wers w poemacie "Wędrowiec" - mówi. - Bóg opiekuje się tymi, którzy mu ślubują.

- Jeżeli będę mogła, wrócę - szepczę.

Od chwili kiedy wjechaliśmy w ulicę Misyjną, liczę latarnie uliczne. Trzy, pięć, siedem. We mgle, która wydaje się teraz trochę rzadsza, wyglądają najpierw jak chmury światła i rosną w jasne aureole. Dwadzieścia jeden. Powtarzam tę liczbę w myślach, zastanawiając się, co czyni ją tak specjalną. Nie cyfra jeden. Nie kwadrat. Trzy siódemki. Trzy jak Trójca Święta, siedem, bo jest to cyfra magiczna i była magiczna od początku świata.

"U Jimmy'ego" to parterowa spelunka stojąca na opuszczonym rogu. Powyżej kapiącego od brudu frontowego okna zapala się i gaśnie neon, najpierw różowa, naga kobieta, potem zielona palma. Nie musimy szukać miejsca do zaparkowania.

Łagodnie tchnienie bryzy łaskocze mój policzek. Mgła podnosi się.

- Śpieszmy się - ponaglęm.

Tony przepycha się przez drzwi w ciemność tawerny. W pierwszej chwili nic nie widzę. Zapach nieświeżego piwa i rumu jest tak mocny, że mój żołądek zaczyna się skręcać. Na każdym stole stoi świeca w okrągłym, czerwonym szkłe. W ich mizernym świetle udaje mi się dojrzeć barmana, dużego mężczyznę wycierającego kufle fartuchem.

- Czego chcecie? - pyta.

- Szukamy kogoś, kto nazywa się kapitan Fletcher - mówi Tony.- Powiedział, że można go znaleźć tutaj.

Barman wskazuje głową na koniec sali.

Torujemy sobie drogę między kulawymi stołami, przy których pojedynczo lub po dwóch siedzą stali goście. W odosobnionym kącie, z daleka od drzwi, widać rozczochraną postać zgarbioną nad kieliszkiem i butelką whisky.

- Kapitan Fletcher? - pyta Tony.

- A kim, u diabła, ty jesteś? - odpowiada mężczyzna obejmując ramionami butelkę w geście ochrony.

- Przyprowaździłem Elektrę.

Mężczyzna wciąga oddech, potem wzdycha, prawie jęczy.

- Obliczyłem, że już jej nie ma - mówi.

Odsuwam krzesło z drogi i siadam naprzeciwko niego.

Wpatruję się w jego twarz starając się dopasować ją do twarzy zza ogrodzenia. Zbyt wiele zmarszczek i światło nie

jest wystarczające. Mam tylko dziwne uczucie czegoś znajomego.

- Czas leci jak tkackie czółenka - mówię - i przemija bez nadziei.

W czerwonym świetle świecy widzę łzy spływające po jego policzkach.

- Wspomnij, że dni moje jak powiew. Ponownie oko me szczęścia nie zazna.

- Co to znaczy? - szepczę.- Śniło mi się miesiącami.

Patrzy na mnie zrozpaczony.

- Słodki Boże. W ciągu tych dwudziestu jeden lat nauczyłem się całej cholernej księgi Hioba* na pamięć. Jeśli chcesz wiedzieć, to jest z niej. Mogło być równie dobrze napisane dla mnie. Bóg jeden wie, jak wiele razy prosiłem go, żeby albo mnie zabrał, albo mi wybaczył, żeby to się wreszcie skończyło.

- Co ci wybaczył? - pyta Fairfax, pochylając się nad nim.

- Co zrobiłeś Elektrze?

Kapitan Fletcher odrzuca w tył głowę i wybucha śmiechem.

- A to dobre. K t ó r e j Elektrze? Jest ich zdecydowanie za dużo na tym zawieszonym kawałku świata.

Nagle dochodzi mnie cichy odgłos, niesłyszalny dla kogoś, kto go nie nasłuchuje - to bryza delikatnie skrobie w okno tawerny Jimma. Moje wargi robią się suche.

- Czy jesteś moim ojcem?

Wciąż się śmieje, prawie bezradnie, z jakiegoś żartu, którego nikt poza nim nie dostrzega.

- Twoim ojcem - powtarza.- Gdybym był twoim ojcem, wszystko byłoby teraz znacznie prostsze, prawda?

Zdaję sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywałam oddech. Wypuszczam go teraz, zmieszana ulgą, jaką czuję. Mój ojciec jest lepszym człowiekiem niż ten Fletcher. Nadal mogę o nim marzyć.

- Napisałeś, że znajdę cię, jeżeli Bóg jest łaskawy.

No cóż, znalazłam - mówię. - I chcę wiedzieć o co ci chodziło z tym układem i czasem, który się kończy.

Jego śmiech urywa się równie nagle, jak się zaczął, oczy zachodzą mgłą. Ckliwy, żaloszny pijak. Staram się nie gardzić nim za jego słabość. Cokolwiek zrobił, nienawidzi za to sam siebie. To powinno wystarczyć.

- Dwadzieścia jeden lat temu byłem kapitanem statku - mówi.- Statku, który nazywał się "Elektra". Wspaniałego, śmierzącego statku, który zatonął podczas sztormu. Nikt nie zginął. Wiecie dlaczego? Ponieważ zawarłem układ z wiatrem. Zabrałem cię z ramion matki. I użyłem cię, żeby kupić nasze życie. Użyłem cię jako zastawu. Każdy żeglarz wie, że wiatr jest zawsze zainteresowany, gdy w grę wchodzi dusza. Szczególnie dusza dziecka.

Przez długą chwilę nikt nic nie mówi. Potem Fairfax pochyla się nad stołem i odzywa się głosem zbyt cichym, żeby

był przekonujący.

- To kompletna bzdura.

Tony ze ściągniętą twarzą przygląda się kapitanowi Fletcherowi.

- Nie wierzę ci. Jeżeli mówisz prawdę, dlaczego wiatr nie wziął jej od razu. Dlaczego czekał tak długo?

Kapitan odpowiada mu szalonym uśmiechem.

- Wiatr nie może wziąć czyjejś duszy wbrew woli.

To nie może się zdarzyć przed osiągnięciem dojrzałości.

- Czy wystarczy więc, żeby Elektra powiedziała, że nie może jej mieć? - mówi Tony głosem łamiącym się z gniewu i niedowierzania.

Kapitan odpowiada cicho:

- Za kogo mnie bierzecie? Sami posłuchajcie. Czy to brzmi jak majaki starego człowieka?

Tony odwraca lekko głowę. On też to słyszy - znowu wiatr, tym razem bardziej natrętny, gwizdzący przez dziurkę od klucza, okręcając krzykliwy napis na zewnątrz, uderza nim o cegły.

- Musiałem przyrzec, że będzie dobrze chowana, pozostanie czysta i niezepsuta, aż przyjdzie czas. Dlatego oddałem ją zakonnicom - mówi Fletcher z oczami utkwionymi gdzieś daleko, w coś, czego nikt z nas nie może zobaczyć. - Wiatr też ma swoje sposoby. Przez cały czas węszył wokół niej, szepcząc, co powinna lubić, a czego nienawidzić i starając się jej wmówić, że nie ma nic do stracenia.

Podnosi butelkę drżącymi rękami i pociąga długi łyk.

- A jak myślicie, co stanie się ze mną, kiedy ona powie nie? Jak myślicie, co stanie się z wami i tymi wszystkimi, na których jej choć trochę zależy? Zapytaj jej. Jestem pewien, że ona już wie. - Potrząsa głową. - Nawet nie potraficie sobie wyobrazić, jaką śmierć może wiatr wymyślić człowiekowi.

Fairfax zrywa się na nogi, szarpiąc się, podczas gdy Tony trzyma ją z tyłu.

- Ty skurwysynu! Kto ci dał prawo stawiać w tej grze cudzą duszę? T w o j a dusza. To powinna być t w o j a dusza!

- Moja dusza? Ty śmierdzący podzrutku. Nic nie wiesz o interesach. Dlaczegoż wiatr miałby wziąć barana, jeżeli może mieć jagnię? - Tym razem jego śmiech wypełnia cały pokój, okropny, obłąkańczy, wyjący dźwięk, prawie jak krzyk bólu. Kiedy milknie, Fletcher wyciera krople śliny w rękaw i pociąga kolejny długi łyk. - A tym, co dało mi prawo, były cyfry. Proste, śmierdzące cyfry. - Łypie na mnie, jakbyśmy należeli do tego samego spisku. - Wiesz wszystko o cyfrach, prawda? Myślisz, że je kochasz, co, że wiesz o nich wszystko. Dobrze, zobacz, co zrobiły ze mną!

Odpycha krzesło do tyłu, wstaje, niepewnie trzymając się na nogach, zbyt odrętwiała, żeby czuć podłogę pod stopami.

- O co ci chodzi?

- O to, że wszystko jest w cyfrach. Sto i dwadzieścia dziewięć do jednego. Sto i dwadzieścia dziewięć mężczyzn, kobiet i dzieci posłanych w Davy Jonesa. Albo jedno niemowlę...jedno niemowlę...

Cofam się, wywracając krzesła, objając się o stoły.

Na zewnątrz wiatr wzmaga się, wyjąc przeraźliwie. Ściany się trzęsą. Okna brzęczą we framugach.

- To kłamstwo! - krzyczy Fairfax.- Wszystko, co on powiedział, jest kłamstwem!

Jakbym chciała jej uwierzyć.

Barman podnosi wzrok na sufit, osłania ramieniem głowę przed spadającym kawałem tynku, potem zaczyna krzyczeć: - Ty! Wynoś się z mojego baru!

- Dość - mówi Tony. - Nie zbliżać się do drzwi.- I przedziera się przez poprzewracane krzesła i stoły, żeby złapać mnie za nadgarstek.

Jestem zagubiona w świecie lęku i niepewności. Chcę żyć. Chcę odnaleźć moją matkę i ojca. Chcę poczuć, jak to jest być kimś z odziedziczoną przeszłością, długą, skomplikowaną i bogatą. To nie w porządku.

W tym samym momencie myślę o tym, jak zwykłam przypatrywać się gwiazdom i zastanawiać, dlaczego jestem inna - introwertyczka, zimna i przerażona, kiedy dotykał mnie mężczyzna, wpadająca w ekstazę tylko nad prawami matematyki. Skrywałam nadzieję, że coś mnie odmieni, rozpali moją duszę. Teraz znam prawdę. Jestem inna, ponieważ moja dusza nigdy nie należała do mnie. Może nigdy się nie zmienię.

Patrzę na palce Tony'ego mocno obejmujące mój nadgarstek i krzyczę:

- Nie puszczaj mnie! O Boże, tak, puść mnie.

- Elektro! - jego oczy wypełnione są łzami. - Ludziom zależy na tobie. Wszystkim nam zależy - Fairfax, Roddy'emu, Lawinii, mnie. Nie mogę tak po prostu zrezygnować. Kocham cię, Elektro. Nie dam ci odejść.

Mam tylko chwilę, żeby poczuć zdziwienie po jego słowach, tylko chwilę, by poczuć, jak ten płomień właśnie zapala się we mnie. Potem frontowe okno rozpada się na milion kawałeczków. Nagle twarz Tony'ego jest pocętkowana krwią. Tony zamyka oczy i zatacza się w tył z okrzykiem zdziwienia. Jakby z daleka słyszę krzyki i wrzaski pozostałych gości. Ubranie oblepia szczelnie moje ciało. Wiatr ciągnie mnie, a wewnątrz czaszki wibruje wiadomość, którą znam już na pamięć.....

Fairfax przywiera do mnie, podczas gdy wiatr targa mnie w stronę drzwi.

- Nie idź. Powiedział, że nie musisz iść - wrzeszczy.

Lustro nad barem rozpryskuje się, atakując tysiącem śmiertelnych odłamków.

Patrzę na Fairfax kurczowo trzymającą się mojego kolana, jej włosy, jak płomienna grzywa pokryte są smugami ciemnej krwi. Za nią Tony klęczy i potrząsa głową, jakby chciał

oczyścić myśli. Ogarnia mnie nowa fala przerażenia i rozumiem, czego chce wiatr. Chce, bym uwierzyła, że kapitan Fletcher miał rację. Że to po prostu sprawa cyfr. Moje życie w zamian za życie tych, których kocham. Ale wiatr chce nie tylko mojego życia. Chodzi mu o moją duszę. I jeżeli nie oprę się, to będzie gorsze niż śmierć. Dużo gorsze.

- Nie pozwól mi pójść, Tony! Och Boże, nie daj mi pójść - krzyczę i mocno zaciskam oczy. Poprzez ciemność i niewiarygodny zgielk słyszę szept: "Myślę, że wrócisz". To głos siostry Jude. W tym momencie chaos zewnętrznego świata oddala się i pamiętam, że każde równanie może być rozwiązane na różne sposoby i że często najbardziej elegancka droga prowadząca do rozwiązania jest najmniej oczywista.

Krzyczę na wiatr:

- Maryjo, Matko Boska, wstaw się za mną. Oddaję moje życie w służbę jako oblubienica Pańska.

Wiatr zamiera, ale tylko na moment. Potem podnosi się znowu z nieludzkim wyciem. Dach zapada się - myślę spokojnie, czuję betonowy grad i dziwnie bez związku strumień bólu.

W naszej dolinie wśród gór wstaje słońce. Przystaję, klękam na jutrznię wyglądając przez okno kaplicy. Szczyty nad klasztorem, dotknięte już miedzianym blaskiem, odcinają się ostrymi krawędziami od ciemnobłękitnego nieba. Najwyższe płachty lasu migoczą w złotej aureoli światła. Lubię ten widok, uporządkowany, wypełniony boskimi równaniami. Jestem daleko od morza, to dobre miejsce, żeby zacząć od nowa, szczególnie jeśli czyjeś imię pochodzi od nazwy statku.

Moja ręka wędruje ku górze i dotyka krzyża siostry Jude, jednej z niewielu ziemskich rzeczy, które wzięłam ze sobą, kiedy tutaj przyszłam. Proszę o siłę. Nadal nie potrafię myśleć o swojej przeszłości bez uczucia tęsknoty. W tawernie Jimmy'ego nikt nie zginął poza kapitanem Fletcherem. On i tylko on stracił życie, kiedy zapadł się dach.

Co jakiś czas nadchodzą listy. Siostra Michaela pisze, że siostra Jude spędza swe dni drzemiąc na słońcu. Od Roddy'ego i Lawinii otrzymuję wiadomości o dobrych książkach i stanie ogrodu. Fairfax i Tony piszą rzadko. Już prędzej pojawiają się u moich drzwi co kilka miesięcy, przynosząc w podarunku wino z granatów, ciepłe szale na śnieżną zimę i świeże owoce, których nie możemy wyhodować same na tych wysokościach. Jeżeli dzień jest ciepły, spaceruję z nimi po lesie. Jeśli nie, siedzimy razem w pokoju przyjęć, gdzie ogień chroni przed zimmem.

Fairfax mówi o swojej muzyce, która pochłania ją teraz jak nigdy przedtem. Przy każdej okazji opowiada o jakimś nowym odkryciu: specjalnej technice, nazwisku nieznanego kompozytora lub świeżej interpretacji jakiejś szczególnej

frazy.

Tony nigdy nie mówi o swojej pracy. Za to za każdym razem pyta, a w jego spojrzeniu coraz mniej nadziei:

- Czy kiedykolwiek opuścisz to miejsce?

A ja zawsze odpowiadam:

- Nie, Tony, nie opuszczę.

I wtedy najmocniej czuję ból. Ale takie życie jest dla mnie dobre. A jeżeli nawet nie, umowa jest umową, to najważniejsze.

Przełożyła Dorota Malinowska

* Przekład z Księgi Hioba - ks. Władysław Borowski CRL
(Biblia Tysiąclecia, wyd. 3 popr., Pallotinum, Warszawa
1982).